TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STR., CHICAGO ILL.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI·

W Stanach Zjednoczonych i Canadzie.. $1.00.

Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej, Azyi, Afryki i Australii........ $1.50.

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JE[DYN]IE NA CAŁY ROK I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 7. Chicago, Ill., Czwartek, 17-go Lutego, 1898. Rok XII.

Książę Srebrny.

POWIEŚĆ Z CZASÓW IWANA GROŹNEGO

HR. TOŁSTOJA.

(Z rosyjskiego przełożył W. Grajnert).

(Ciąg dalszy).

Nad głowami koni powiewały różnokolorowe pióra, na grzbietach pstrzyły się skóry zwierzęce lub atłasowe czapraki, wysadzane drogiemi kamieniami. Wszystkie te konie brzęczały srebrnemi kółkami lub jabłkami, które ode łba do samej ziemi zwieszały im się na długich pasach.

Ujrzawszy Drużynę Andrejewicza, kniaź Wiaziemskij i wszyscy opricznicy zeskoczyli z siodeł.

Morozow ze złotem naczyniem wolno szedł ku nim, a za bojarem cały dwór jego.

— Kniaziu — rzekł Morozow — posłanym jesteś do mnie od cara, pospieszam przeto na twoje spotkanie z chlebem i solą.

Tu bojarzyn nisko się pokłonił, a włosy mu spadły na czoło.

— Bojarze — odparł Wiaziemskij — wielki car kazał ci przedstawić swój carski ukaz. "Bojarze Drużyno! car i wielki Iwan Wasiliewicz całej Rusi — zdejmuje z ciebie gniew swój, zdejmuje z głowy twojej carską opałę, daruje ci wszystkie winy twoje; jesteś w dawnych łaskach u wielkiego cara, masz być wiernym sługą jego jako dawniej".

Zaczem Wiaziemskij założył jednę rękę za pas, drugą pogłaskał brodę, i wlepiwszy w Morozowa swój orli wzrok, czekał na odpowiedź.

W samym jeszcze początku mowy kniazia Morozow klęknął. Słudzy podnieśli go

za rękę. Był blady.

— Niech Bóg i święci moskiewscy błogosławią naszego wielkiego cara! Oby Bóg najmiłościwszy przedłużył dni carskiego żywota jego! Nie ciebie oczekiwałem kniaziu, ale posłanym jesteś do mnie od cara, wejdź przeto w progi moje. Wejdźcie panowie opprycznicy, proszę uniżenie! A ja pójdę teraz odprawić nabożeństwo dziękczynne, poczem będziemy ucztowali do późna w noc.

Oprycznicy weszli.

Morozow przywołał jednego ze swoich czeladników:

— "Siadaj na koń, pędź do kniazia Srebrnego, pokłoń mu się i powiedz, że proszę go na uczczenie dnia dzisiejszego; car zlitował się nademną, zdjął opałę!"

Poczem Morozow wprowadził gości do komnat, a sam wraz z wszystką prawie czeladzią, udał się przez podwórze do cerkwi domowej. Klucznik tylko i służby tyle, ile potrzeba było do obsługi opryczników, zostało się w domu.

Podano różne zakąski i nalewki, obiadu zaś na stole jeszcze nie było.

Wkrótce przybył Srebrny, także ze swoją czeladzią, gdyż owemi czasy samemu bojarowi jeździć nie wypadało.

Wnet w dużej izbie nakryto do stołu, słudzy już stali każdy na swem miejscu; oglądano się tylko na gospodarza.

Drużyna Andrejewicz po nabożeństwie przeszedł w "uczciwej" odzieży, w aksamitnym kaftanie, z sobolą czapką w ręku. Siwe kędziory starego równo podstrzyżone, broda starannie rozczesana. Skłonił się gościom, ci skłonili mu się także, zaczem wszyscy siedli do stołu.

Zaczęła się wesoła uczta, zabrzmiały srebrne puhary, a razem z niemi zabrzmiał jeszcze inny dźwięk jakiś, niepodobny do dźwięku sreber. Zabrzmiały ukryte pod kaftanami opryczników sztylety. Ale Morozow nie usłyszał złowieszczego jęku. Innemi myślami miał głowę zaprzątniętą. Wewnętrzne przekonanie mówiło mu, że rywal jego siedzi przy jednym z nim stole. Bojar w końcu znalazł środek na wykrycie przeciwnika. Środek ten według niego miał być najlepszym.

Już wiele puharów wysuszyli biesiadnicy, pili za zdrowie cara, carowej i za cały dom carski, pili za metropolitę i za całe ruskie duchowieństwo, pili za Wiaziemskiego za Srebrnego i za zdrowie szczerego gospodarza; pili z osobna za zdrowie każdego gościa. Gdy w ten sposób każdy już był uczczony, Wiaziemskij wstał i zaproponował zdrowie młodej bojarki.

Tego tylko czekał Morozow.

— Drodzy goście — rzekł — nie wypada bez gospodyni pić za jej zdrowie. Idźcie — mówił dalej do sług — idźcie po bojarkę — niech przyjdzie ze swych rąk częstować drogich gości.

— Tak, tak — ozwali się biesiadnicy w jeden głos — bez gosposi nawet miód nie jest słodki.

Zaraz też przyszła Helena w przepysznej sukni, w towarzystwie dwóch dziewcząt; trzymała w ręku złotą tacę z jedną tylko czarką. Goście wstali. Sługa napełnił czarkę potrójnym zieleniakiem. Helena dotknęła się jej ustami, poczem obnosiła dokoła gości, kłaniając się każdemu, według zwyczaju, w pas. Sługa czarkę co chwila nalewał winem.

Gdy Helena obeszła wszystkich bez wyjątku, Morozow, ciągle ją śledzący, zwrócił się nagle do biesiadników.

— Drodzy goście — rzekł — według starodawnego naszego zwyczaju, proszę was na dowód, że szanujecie dom mój, nie pogardzić pocałowaniem i żony mojej! Dmitryewno, stań na widocznem miejscu i całuj się z każdym po kolei.

Goście podziękowali gospodarzowi. Helena drżąc cała stanęła pod piecem i spuściła oczy.

— Książę podchodź — mówił Morozow do Wiaziemskiego.

— Nie, nie, tak jak zwyczaj wymaga! — krzyknęli goście — niech gospodarz pierwszy pocałuje gospodynię!

— Niechże będzie, jak chcecie — odparł Morozow, i podszedłszy do żony, pokłonił jej się w nogi. W pocałunku usta Heleny były rozpalone jak ogień, jak lód były zimne usta Drużyny Andrejewicza.

Później podszedł Wiaziemskij.

Morozow pilnie śledził.

Oczy Afanasja Iwanowicza skrzyły się

niby rozżarzone węgle; twarz zaś Heleny była nieruchomą. W obecności męża, Srebrnego, nie bała się Wiaziemskiego.

"Nie on" pomyślał Morozow.

Wiaziemskij skłonił się do ziemi i pocałował Helenę. Pocałunek był dłuższym niż wymagał zwyczaj, więc bojarka z pogardą odwróciła się od kniazia.

"Nie — nie on", powtórzył w myśli Morozow.

Za czem podchodzili inni z kolei oprycznicy. Każdy się nisko kłaniał i całował Helenę. Morozow oprócz niepokoju nic nie mógł wyczytać z twarzy bojarki. Kilka razy podnosiły się długie jej rzęsy, a wzrok — niby ze strachem, szukał kogoś pomiędzy gośćmi.

"On tutaj!" — pomyślał Morozow.

Nagle strach opanował Helenę. Oczy jej spotkały się z oczami męża, i z wrodzoną sercu kobiecemu przenikliwością odgadła myśli bojara. Pod tym ciężkim, nieruchomym wzrokiem zdało jej się niemożebnem pocałować Srebrnego, by w tej chwili nie wydać swej tajemnicy. Wszystkie okoliczności, towarzyszące ich spotkaniu w ogrodzie przy sztachetach, stanęły jej żywo w pamięci. To, co ją oczekiwało teraz, uważała za karę Boską za ten występny pocałunek. Śmiertelny chłód przebiegł po jej ciele.

— Jestem niezdrowa... — wyszeptała — puść mnie Drużyno Andreicz.

— Zostań Heleno — odrzekł spokojnie Morozow — poczekaj; teraz w żaden sposób odejść nie możesz, trzeba obrzędu dokończyć.

Tu przeszył żonę nawskroś przenikliwym wzrokiem.

— Ledwie się trzymam na nogach — znów wymówiła Helena.

— Co? — spytał Morozow, udając że nie dosłyszał, zagorzałaś od pieca? Zdaje ci się!

— Proszę was, drodzy goście, podchodźcie nie słuchajcie żony. Dziecko to jeszcze! Uparta, pierwszy raz dopiero widzi ten obrzęd, do tego jeszcze trochę zagorzała. Podchodźcie, proszę was.

"A gdzież Srebrny" — pomyślał Drużyna Andreicz, rzuciwszy wzrokiem po zebraniu.

Książę Nikita Romanowicz stał na uboczu. Nie uszła jego wzroku nadzwyczajna przenikliwość, z jaką Morozow wpatrywał się w żonę i w każdego podchodzącego do niej opricznika. Wyczytał z twarzy Heleny strach i niepokój.

Nikita Romanowicz zawsze stanowczy, gdy sumienie miał czyste, teraz nie wiedział co czynić. Bał się podejść do Heleny, by nie zwiększyć jej zakłopotania, bał się zostawać, by nie wzbudzić znowu podejrzenia w jej mężu. Gdyby choć jedno słówko mógł nieznacznie powiedzieć bojarce, dodałby jej ducha, ale Helena była otoczoną gośćmi, mąż nie spuszczał z niej wzroku; trzeba się było na coś zdecydować.

Srebrny podszedł, pokłonił się Helenie, ale nie wiedział, czy ma patrzeć jej w oczy, czy też naumyślnie unikać jej wzroku. To wahanie się wydało księcia. Helena zaś także nie wytrzymała tortury, na jaką ją wystawił Morozow. Szukała bojarka męża nie z lekkomyślności, ale z namowy serca zrozpaczonego. Oszukała go dla tego, bo oszukała samą siebie, myśląc, że może pokochać Drużynę Andrejewicza. Gdy w nocy, w ogrodzie zapewniała Srebrnego o swej miłości, słowa te wyrwały się jej mimowoli; nie ważyła tego co mówi, i gdyby wtedy spotkała była swego męża, przyznałaby mu się otwarcie do wszystkiego. Ale Helena, z natury sama bardzo lękliwa, miała bujną wyobraźnię. Po nocnej schadzce ze Srebrnym nie przestawały ją dręczyć wyrzuty sumienia. Do nich przyłączyła się jeszcze śmiertelna trwoga o los Nikity Romanowicza. Dręczyły ją różne wręcz jedna drugiej przeciwne myśli. Chciała paść do nóg mężowi i prosić go o przebaczenie i radę, ale bała się gniewu jego, bała o Nikitę Romanowicza.

Ta walka, te męki, ten strach przed mężem dobrym i łagodnym, lecz nieubłaganym we wszystkiem co się tyczyło jego honoru — wszystko to ogromnie oddziałało na cielesne siły bojarki. Gdy usta Srebrnego dotknęły się do jej ust, zadrżała jak w febrze, nogi się pod nią zgięły, a z ust wyleciały słowa: "Prześwięta Bogarodzico zlituj się nademną!"

Morozow pochwycił Helenę.

— Ech — rzekł -- oto kobiece zdrowie. Spojrz: zdaje się krew z mlekiem, a trochę czadu — masz! i nogi nie trzymają. Ale to nic; przejdzie.

Podchodźcie mili goście!

Głos i uprzejmość Morozowa w niczem się nie zmieniły. Tak samo był spokojnym, wesołym i szczerym.

Srebrny nie mógł sobie zdać sprawy, ażali bojar wniknął w jego tajemnicę.

Po spełnieniu obrzędu, Helena udała się zaraz do świetlicy, goście zaś na prośbę Morozowa znów siedli do stołu.

Drużyna Andrejewicz częstował ich z zwykłą sobie szczerością, bacząc na najmniejszy nawet szczegół dla okazania swej gościnności. Było już późno. Wino rozgrzewało głowy i dziwne nieraz słowa dawały się słyszeć w rozmowie między opricznikami.

— Książę — szepnął jakiś do ucha Wiaziemskiego — warto by już do rzeczy...

— Milcz — odpowiedział jeszcze ciszej Wiaziemskij — stary usłyszy!

— Choć usłyszy, to nie zrozumie — mówił dalej opricznik z natręctwem pijanego.

— Milcz! — powtórzył Wiaziemskij.

— Ja ci mówię, kniaziu, już czas, czas bo czas! ja zaraz dam znak!

Opricznik chciał wstać.

Wiaziemskij silną ręką przytrzymał go na miejscu.

— Upamiętaj się, bo ci ten nóż w gardło wpakuję!

— Oho, to ty jeszcze grozisz! — krzyknął opricznik, wstając z ławki. — Ja mówiłem że tobie wierzyć nie można, przecież tyś nie nasz brat! Już jabym was wszystkich kniaziów i bojarów! Ale poczekajno, zobaczymy czyja góra! Dalej za szable! wyjmuj z pod kaftana szablę, zobaczymy czyja góra!

Słowa te, acz pijanym wymówione głosem, mimo szumu i wrzawy ogólnej, doszły jednak niejedne do ucha Srebrnego i zwróciły jego uwagę. Morozow ich nie słyszał. Zauważył tylko, że między gośćmi wszczęła się kłótnia. Wstał więc z za stołu i rzekł:

— Drodzy goście, na dworze już ciemna noc, czy nie czas iść na spoczynek? Każdy już ma przyszykowaną miękką pierzynę i puchową poduszkę.

Więc opricznicy wstali, podziękowali gospodarzowi, skłoniwszy się poszli do przygotowanych dla nich na dworze sypialni.

Srebrny chciał wyjść także.

Morozow wziął go za rękę.

— Kniaziu, poczekaj na mnie tutaj.

Zaczem Morozow udał się do pokojów żony.

XVI.

Porwanie.

Podczas uczty opryczników, w około domu bojarzyna, odbywało się coś niezwykłego.

O zmierzchu inni opricznicy zaczęli się zjawiać po jednemu około sztachet sadu, około parkanu, którym był otoczony, dwór, a w końcu i na samym dziedzińcu.

Ludzie Morozowa nie zwracali na nich uwagi.

Gdy nastała noc, dom ze wszystkich stron był już otoczony przez opryczników.

Strzemienny Wiaziemskiego wstał z za stołu, mówiąc, że musi napoić konia.

Nie dochodząc wszakże do stajni, obejrzał się najprzód za siebie a potem dokoła, podszedł do kołowrotu i gwizdnął jakoś dziwacznie.

Ktoś podkradł się ku niemu.

— Wszyscy jesteście? — spytał strzemienny.

— Wszyscy — odrzekł tamten.

— Dobrze, oczekujcie sygnału!

Przez ten czas Morozow wszedł do świetlicy Heleny.

— Heleno — rzekł — co znaczyło twoje zakłopotanie podczas obrzędu?

— Zrobiło mi się nie dobrze — szepnęła Helena.

— Tak! Niedobrze ci się zrobiło, ale nie na ciele, tylko na duszy!

Bojarka drżała.

— Dzisiaj rano — mówił dalej Morozow — czytałem Pismo święte przed przybyciem Wiaziemskiego; czy wiesz, co tam powiedziano jest o niewiernych żonach?

Helena płakała.

— Gdym cię ujrzał w cerkwi, bezbronną sierotę w on dzień, którego cię chcieli zmusić pójść za Wiaziemskiego, postanowiłem cię wybawić od tego, którego nienawidziłaś, ale żądałem przysięgi, że nie znieważysz moich siwych włosów! Dla czego przysięgę dałaś? Dla czego przysięgę dałaś? Dla czego zasłoniłaś się mojem imieniem niby ścianą kamienną a potem drwiłaś ze mnie wraz ze swym kochankiem? Myśleliście: Morozow głupi, łatwo go okpić!

— Nie, panie mój! — zalała się łzami Helena i padła na kolana — nigdy tego nie myślałam! Ani w głowie, ani w myśli tego nigdy nie miałam! Przecież on w ówczas był na Litwie.

Przy wyrazie on oczy Morozowa się zaiskrzyły. Lecz zapanował nad sobą i gorzko się uśmiechnął.

— Tak... Poznaliście się nocą w sadzie, u sztachet, tego samego wieczoru gdym go przyjął i ugościł jak syna. Powiedz Heleno, czy na prawdę myśleliście, że nie odgadnę waszych zamiarów, że dam się omamić, i nie zdołam ukarać niewiernej żony i jej uwodziciela?

Helena z przerażeniem spojrzała na męża.

W tej samej chwili powstał zgiełk na dworze. Kilka głosów mówiło razem. Bojar zaczął się przysłuchiwać. Zgiełk stawał się coraz większym. Zdawało się, że wielu ludzi hurmem wpadło na schody, prowadzące do świetlicy bojarki.

Rozległ się strzał.

— Drużyno Andreicz! — krzyknął głos z dołu — zdrada, zdrada! Opryczniey wpadają do twojej żony! Strzeż się Drużyno Andreicz!

To był głos Srebrnego. Helena w niepojętej radości rzuciła się ku drzwiom. Morozow odepchnął żonę, zsunął drzwi i zamknął je na żelazny hak.

Dały się słyszeć naraz prędkie kroki, potem przekleństwa, walka i ciężkie spadnięcie.

Drzwi zatrzęsły się od uderzeń.

— Bojarze — krzyczał Wiaziemskij — otwieraj, bo cały dom w popiół obrócę!

— Nie wierzę, kniaziu — odrzekł z godnością Morozow — jeszcze nie było zdarzenia w krainie moskiewskiej, by gość znieważał gospodarza, by przemocą wdzierał się do pokoju jego żony.

— Otwieraj! — powtórzył kniaź, uderzając w drzwi.

— Afanasij Iwanycz! pomnij kto jesteś! pomnij, żeś nie rozbójnik, jeno kniaź i bojarzyn!

— Jestem opricznikiem! słyszysz, bojarze, Wiaziemskij jest opricznikiem! Podobała mi się żona twoja, podłego czynu się nie wstydzę, całą Moskwę z dymem puszczę, a Helenę dostanę.

Nagle cała izba się oświetliła. Morozow dostrzegł przez okno, że palą się dachy zabudowań, w których mieszkała służba dworska.

W tej samej chwili i drzwi z trzaskiem padły pod uderzeniami Wiaziemskiego, który zjawił się na progu z przełamaną szablą w ręku.

Białe atłasowe ubranie kniazia było przerwane i krew strumieniem lała się z niego. Widać że nie bez walki dostał się do świetlicy.

Morozow strzelił do Wiaziemskiego, ale ręka go zdradziła; kula trafiła w ścianę; kniaź rzucił się na Morozowa.

Niedługo trwała potyczka. Morozow padł na wznak od silnego uderzenia rękojeścia szabli. Wiaziemskij podbiegł do bojarki, i nim jeszcze krwawe ręce dotknęły się jej odzieży, ta konwulsyjnie krzyknęła i padła bez zmysłów. Kniaź porwał ją na ręce i puścił się ze schodów, zamiatając stopnie jej rozpuszczoną kosą.

U kołowrota czekały konie. Wskoczywszy na siodło, książę poleciał z omdlałą bojarką, a za nim pocłapali brzęczący orężem chołopi.

Strach! co się działo w domu Morozowa! Płomień ogarnął wszystkie dworskie budynki. Czeladnicy i dziewki jęczeli waląc się od uderzeń łupiezców. Towarzysze Chomiaka grabili dom, wyrzucali w jednę kupę na dwór drogie naczynia, pieniądze i bogate odzienie. Na dworcu, nad całą masą srebra i złota, stał w czerwonym kaftanie Chomiak, zagłuszając swym krzykiem szum i trzask ognia.

— Chomiaku — ozwał się któryś oprycznik — słudzy z Morozowem uciekli rzeką, czy ich dopędzić?

— Czort go bierz! Nie ma czasu bawić się z nimi!

— Chomiaku — spytał inny — co każesz robić ze Srebrnym?

— Ani palcem go tknąć. Wziąść go pod straż! Z pompą zajedzie do Słobody. Widzieliście jak chlastnął kniazia Afanasja Iwanowicza, jak naszych szablą płatał?!

— Widzieli, widzieli!

— A będziecie krzyż całowali na to przed carem?

— Będziemy, będziemy!

— No, pamiętajcie! Teraz niech nikt mu nie śmie nic złego zrobić. Jak przejedziemy do domu, Grygorij Łukjanycz przypomni mu swój policzek, a ja swoje baty.

XVII.

Zażegnanie krwi.

Sąsiedzi Morozowa ujrzawszy łunę ognistą nad dworcem jego, czemprędzej pogasili ognie i pozamykali bramy swych domów.

— Boże — mówili robiąc znak krzyża św., a koło których przejeżdżał Wiaziemskij z chłopami — Boże zlituj się nad nami, odwróć od nas biedę.

A gdy tętent koni i szczęk broni ucichł w pustych ulicach, cieszyli się i Bogu dziękowali, że minęło nieszczęście, i znowu się żegnali. A kniaź pędził precz; daleko już pozostawił za sobą czeladników. Chciał jeszcze przed świtem przybyć do stacyi, gdzie nań czekały inne konie. Ztamtąd miał zawieźć Helenę do swego riazańskiego, majątku. Ale nie ujechał i pięciu wiorst, jak się przekonał, że zbłądził. W tej chwili uczuł, że rany, na które w gorączce nie zwracał uwagi, sprawiały mu okropny ból.

— Bojarko — rzekł, zatrzymując konia — zanadtośmy się oddalili od naszych chłopów, trzeba zaczekać....

Helena po trochu wracała do zmysłów. Otworzywszy oczy, ujrzała najprzód daleką łunę, później mogła rozróżnić las i drogę, a w końcu uczuła, że leży na grzbiecie końskim, a poznawszy Wiaziemskiego, krzyknęła z przestrachu.

— Bojarko — ozwał się Afanasij Iwanowicz z gorzkim uśmiechem — ja strasznym jestem dla ciebie? ty mnie przeklinasz?... mnie nie przeklinaj Heleno Dmitryewno, przeklinaj los swój! Napróżno usiłowałaś uniknąć kniazia Wiaziemskiego! Co komu przeznaczone, to go nie minie; widać, że już dawno miałaś na czole napisane, że się mnie dostaniesz!

— Kniaziu — wyszeptała Helena drżąc ze zgrozy — kiedy nie masz sumienia, pamiętaj na swój ród bojarski, nie zapominaj o czci, o wstydzie.

— Nie mam ani czci, ani wstydu; wszystko oddałem za ciebie, Heleno Dmitryewno!

— Kniaziu, pamiętaj na sąd boski, nie gub swej duszy!

Wiaziemskij słabnął coraz więcej. Widział swą niemoc, lecz starał się jej nie poddawać.

Począł bredzić.

— Heleno — mówił dalej resztę sił zbierając — pokochaj mnie żmijo serca mego, trucicielko duszy mojej!

Książę chciał ją przycisnąć w krwawych objęciach, lecz siły go zdradziły, lejce wypadły mu z rąk, przechylił się i padł na ziemię. Helena ledwie zdołała schwycić się końskiej grzywy. Nie czując na sobie jeźdzca, koń puścił się galopem. Helena chciała go zatrzymać — koń rzucił się w bok, popędził w bór i uprowadził ze sobą bojarkę.

Długo pędzili ciemnym borem... Z początku Helena próbowała wstrzymać rumaka, lecz wkrótce ręce jej osłabły i trzymając się grzywy, poleciła się Boskiej opiece.

A koń unosi Helenę w przestworza zatrzymać się ani myśli...

Słyszy bojarka daleki, jednostajny, przez stokrotne echo powtarzany szum...

Błysnął ognik... niby srebrzysty duch zatrzepotał skrzydły .. koń stanął. Helena utraciła zmysły...

Ocknęła się na miękkiej murawie. Dokoła niej rozlegała się przyjemna woń kwiatów, powietrze było przesiąknięte drzewnym zapachem. Szum jeszcze nie ustał, ale w

nim nie było nic strasznego: niby stara piosenka usypiał bojarkę.

“Gdzie jestem? więc znowu u siebie w ogrodzie?” pomyślała Helena, “dziewuszki, Paszeńko, Dunko, chodźcie no!”

Lecz zamiast rumianej dziewiczej twarzy, ujrzała nad sobą pomarszczoną głowę, a biała jak śnieg broda musnęła ją po czole.

— Widzisz, bojarko, jak cię Bóg uratował — rzekł nieznajomy starzec, z ciekawością wpatrując się w Helenę, — niechnoby koń poddał się nieco w bok, pod koło byłabyś wpadła; ale konisko przyzwyczajone — mówił dalej do siebie — miejsce zna, chwała Bogu, nie pierwszyzna mu tu we młynie.

Zjawienie się starca z początku przestraszyło Helenę, przypomniała sobie różne baśnie o duchach leśnych, i dziwne na niej wywarły wrażenie zmarszczki i biała broda nieznajomego; lecz w głosie jego znajdowało się coś dobrodusznego, więc zmieniwszy w jednej chwili swe mniemanie, padła mu do nóg.

— Dziadziu, dziadziu — krzyknęła obroń mnie, ukryj mnie!

Młynarz zaraz się domyślił, w czem rzecz; konia Wiaziemskiego poznał. Z największą pewnością to była bojarka Morozowa, ta sama, którą on miał przyczarować dla księcia. Nigdy jej nie widział, lecz wiele się nasłuchał o niej od Wiaziemskiego. Bojarka nienawidziła kniazia, widocznie uciekła na własnym jego koniu, i prosiła o pomoc.

Starzec w mgnieniu oka tak sobie wszystko wykombinował i rzekł:

— Niech cię Bóg ma w swojej opiece! jakże ja cię tu będę bronił? Możnym jest kniaź Afanasij Iwanycz, długie ma ręce, zabije starca!

Helena w strachu spojrzała na młynarza.

— Ty wiesz .. ty wiesz... kto ja jestem.

— To nic, że wiem, *małuszka* Helena Dmitryewna. Wiele mi w życiu naszemrała woda, naszeptały drzewa. Wiem ja dosyć, ale nie wszystko można mówić.

— Dziadziu, a kiedy ci wszystko wiadomo, to musisz wiedzieć, że Wiaziemskij nic ci nie zrobi... on leży teraz porąbany. Nie jego się boję dziadziu, boję się opryczników i chłopów kniazia... przez Boga-Rodzicę, dziadziu, ukryj mnie!

— Oh, oh, oh! — ciężko westchnął starzec — leży Afanasij Iwanycz na drodze porąbany! Ale nie od miecza jest mu śmierć napisana! Wstanie kniaź Afanasij Iwanycz, przyleci do młynarza, powie: gdzie bojarka, żmija serca mego, trucicielka duszy mojej? A ja co? Nie taki to człowiek, żeby długo rozmawiał; porąbie w kawałki.

— Dziadziu oto mój naszyjnik! weź go!

Błysnęły oczy młynarzowi. Wziął perłowy naszyjnik z rąk bojarki i zaczął zachwycał się nim przy księżycu, mówiąc z zadowoloną miną:

— Bojarko, mój ty łabędziku, oby cię błogosławił dobry Bóg i święci moskiewscy! Nie łatwo cię ukryć przed ludźmi kniazia, jeżeli tylko tutaj zajadą. Ale już ci usłużę... żebym miał nawet głowę położyć! Może Bóg zlituje się nad nami.

I nie dokończył nawet stary, gdy po lesie dał się słyszeć tętent koński.

— Jadą, jadą! — krzyknęła Helena — nie wydawaj mnie, dziadziu!

— Dobrze, dobrze, bojarko, chodź za mną!

Młynarz czemprędzej odprowadził Helenę do młyna.

— Schowaj się tutaj za workami — rzekł, i zamknął drzwi za nią, sam zaś wrócił do konia:

— Jakby tu go schować, by ci się o niczem nie domyślili?

Wziął konia za uzdę, zaprowadziwszy go drugą stroną młyna, gdzie była pasieka, i przywiązał w krzakach za ulami.

A tętent kopyt i głosy ludzkie coraz się zbliżały. Młynarz zamknął się w komorze i zapalił łuczywo.

Już ludzie Wiaziemskiego znajdowali się na polanie. Dwóch pieszych chołopów niosło na splecionych gałęziach księcia, ledwie dającego oznaki życia. U młyna się zatrzymali.

— Czyśmy aby dobrze zajechali? — spytał starszy jeździec.

— Tędy koń biegł, widziałem ślad — odrzekł drugi. Wreszcie tutaj znachor mieszka, niechaj opatrzy księcia.

— Położcie kniazia na ziemi, tylko jak najniżej! Czy krew zatamowana?

— Nie. Bój jakoś lżej nie daje — powiedzieli chłopi, — kilka razy na drodze się ocknął i znów obumarł. Jak młynarz krwi nie zatamuje, to kniaź już więcej nie wstanie; — krew ujdzie co do kropli.

— A gdzież ten czarownik przeklęty?! Przyprowadźcie go, tylko prędzej!

Opryczniey poczęli walić w młyn rękojeściami szabel. Długo nie otrzymywali żadnej odpowiedzi, aż w końcu z komory dał się słyszeć kaszel, a przez wyrąbany otwór wysunęła się głowa młynarza.

— Kogo to Bóg prowadzi o tej porze — spytał starzec, przyczem kaszlał tak zawzięcie, jakby chciał swą duszę wykaszleć.

— Wychodź, czarowniku, wychodź prędzej krew tamować. Bojar kniaź Wiaziemskij leży szablą porąbany.

Stary udał głuchego.

— Jaki bojar? co za bojar?

— Ah ty łotrze, jeszcze się pytasz! wywalać mu drzwi!

— Poczekajcie panowie, poczekajcie drodzy, sam wyjdę, po co wywalać, sam wyjdę!

— Aha, widzisz go, usłyszał głuchy cietrzew.

— Nie gniewaj się, batiuszka — rzekł wychodząc młynarz — głuchy jestem, chory na ucho, nieraz odrazu nie dosłyszę. A oprócz tego, nie ma co ukrywać, jak poczęliście, moi złoci, walić w drzwi i w ścianę, zląkłem się, i pomyślałem: Boże broń, czy nie rozbójnicy. Przecież tutaj dla nich raj, moi drodzy, gąszcz aż strach, niech Bóg broni, żyjesz w lesie — duszę na ramieniu trzymasz, Boże uchowaj, bo wpadną!

— No, no, zanadtoś się rozgadał: Chodź tutaj, widzisz, jak krew leci, można zatamować?

— A no zobaczymy, moi kochani! Eh, moi mili, a któż go tak dziabnął; oj, żeby tak na pół włoska bliżej, akuratby skroń rozpłatał! No ale Bóg go strzegł. A to co? ramię? o mały włosek do kości nie dojechał. Eh widać jakiś zręczny majster tak jego miłość pochlastał.

— Czy można krew ująć?

— Trudno złociutki, trudno, szabla była oczarowana.

— Oczarowana? Słyszycie oczarowana, ja sam mówiłem, że oczarowana; gdzieżby tam on sam jeden dał radę siedmiu chłopom!

— Tak, tak! — odezwali się opryczniсy, to jasne, że oczarowana; zkąd Srebrnemu na siedmiu!

Młynarz wszystko słuchał, i na wszystko zważał.

— Widzicie, jak się krew leje — mówił dalej — jak ją tu ująć! — gdyby szabla nie była zaczarowana, to jeszcze, a teraz... możeby i można było, tylko się boję, jak zacznę zamawiać, może mi język uschnąć....

— To nic, to nic, zamawiaj!

— Takiś to? tobie to nic, a mnie?

— Istoma, bodaj tu woreczek z czerwieńcami Morozowa — zwrócił się opryсznik do któregoś chłopa — jak zatamujesz, jeszcze garść dostaniesz, jak nie, ducha z ciebie wytrząsnę!

— Bóg zapłać, batiuszko, dziękuję ci; niech cię wszyscy święci nagrodzą! Cóż robić, moi drodzy, postaram się: choć głowę swoją oddam, a nieszczęściu zaradzę. Odejdźcie, moi kochani, świadków nie trzeba.

Opryсznicy odeszli. Młynarz nachylił się nad Wiaziemskim, przywiązał rany, odmówił "Ojcze nasz," i położywszy rękę na głowie kniazia, począł szeptać.

Krew słuchała szeptów młynarza, bo ciekła coraz wolniej, a przy ostatniem jego słowie zupełnie ujętą została.

Wiaziemskij westchnął; oczu jednak nie roztworzył.

Wtedy rzekł młynarz:

— Podejdźcie ojcowie drodzy, podejdźcie bez obawy, już krew nie cieknie, kniaź będzie żyw... tylko mnie nie dobrze... teraz już czuję, jak mi język drętwieje ..

Opryсznicy obstąpili Wiaziemskiego. Blask księżyca padał na jego twarz bladą jak śmierć, lecz krew z ran już nie sączyła.

— I rzeczywiście krew zatamował. Widzisz stary, nie zaryłeś nosem po błocie!

— Masz twoje złoto — rzekł starszy opryszek. Ale to jeszcze nie koniec. Słuchaj, stary, ślady pokazują, że tą drogą uciekł koń księcia, a może razem z bojarką. Jeżeliś ich widział, mów!

(Ciąg dalszy nastąpi).

KRAWIEC CZARNOKSIĘŻNIK.

CIEKAWE OPOWIADANIE.

(Dokończenie.)

Lecz król geniuszów skinął na Herminę, by się doń przybliżyła, ujął ją za rękę, wyprowadził na środek sali i gdy się wszyscy uciszyli, zawołał donośnym głosem:

— Oto widzicie Herminę, spadkobierczynią waszego państwa, a od dzisiaj waszą królową.

— Hurra! niech żyje królowa! — zabrzmiał jednogłośny okrzyk w sali powtórzony z zapałem przez masę ludu stojącego przed pałacem na podwórzu i ulicy.

— Ale, zapytał król geniuszów, gdzie jest pierścień królewski? Komuż go zostawił zmarły król? Wtedy wyciągnęła Hermina malutką rączkę i ukazała oczom obecnym pierścień złoty misternej roboty, w którym osadzony był brylant ogromnej wartości.

— Umierający ojciec, rzekła, w godzinie śmierci włożył mi ten pierścień na palec z temi słowy:

— Darujesz go kiedyś mężowi, który zawsze będzie prawdomowny, uczciwy, wierny i wdzięczny; tylko taki będzie godnym dzierżyć wspólnie z tobą panowanie tego kraju.

— Dobrze, rzekł król geniuszów, dzisiaj oto znalazł się taki człowiek, dla czegoż wachasz się oddać mu pierścień?

— Wacham się, odparła Hermina, gdyż niezmienne przeznaczenie nie każe mi oddawać ręki szlachetnemu jakiemu księciu, lecz skromnemu krawcowi.

— Wspaniała księżniczko! zawołał Fryc ujmując ją z radością za rękę. Tak, tak, musicie poddać się przeznaczeniu i zrobicie to, gdy wręczycie mi pierścień. Gdy ów szlachetny książę, który tu stoi przed wami jest tylko krawcem i nazywa się Fryc Czarnoksiężnik.

Księżniczka zarumieniła się z radości i zawstydzenia i chętnie podała Frycowi pierścień. Wówczas całe zgromadzenie wydało okrzyk radości i po całem mieście rozniosła się wieść:

— Wesele! Wesele!

— Z pośród tłumu wystąpiła teraz Walterowa i rzekła z uśmiechem do Fryca:

— A cóż zięciu? A będzieszże teraz tańczył ze mną na weselu?

Teraz jednak ona nie była już starą żebraczką, lecz wspaniałą damą w średnim wieku.

Wesele odprawiono wkrótce z wielkim przepychem. Fryc i Hermina długo panowali i panowanie swoje zaznaczyli dobrobytem i szczęściem, jakie teraz w całym kraju panowało. Sąsiednie narody również cieszyły się, że będą mogły zawiązać z rozwijającem się państwem nowe stósunki, krótko wszyscy błogosławili młodą królewską parę, a szczególniej Fryca, który się do tego szczęścia prawdomównością, pracowitością, rzetelnością i wdzięcznością najwięcej przyczynił.

KONIEC.

REINHOLD, CUDOWNE DZIECIĘ.

BAJKA.

Przed wielu laty żył pewien bogaty hrabia, lecz już nie przypominam sobie gdzie? Miał on miasta i zamki, pola i lasy, a dochód z tych dóbr był wielki, bardzo wielki.

I stało się z nim to, co się z wielu bogatymi dzieje. Tak wielkich dóbr, myślał sobie, nie przeżyję nigdy, choćbym dwieście lat żył. Dla tego prowadził żywot wspa-

niały, pełen zabaw, bankietów i różnych doczesnych radości. Turnieje, bale i najrozmaitsze uroczystości były u niego na porządku dziennym, a gdy jaki rycerz przyjechał do niego w gościnę, trzy dni na cześć jego trwały biesiady, zabawy i wesołości.

Na dworze hrabiego żyło mnóstwo najpiękniejszych i najznakomitszych chłopców szlacheckich, szybkobiegaczów, (laufrów), strzelców, paziów i innej służby, wszyscy bogato przybrani i bogato płaceni. Prócz tego niezliczona prawie była liczba koni i psów myśliwskich. Wszystko to było ku jego uciesze i w samej rzeczy bawiło to i radowało hrabiego, gdy słyszał, jak w całej okolicy mówiono z podziwem o jego bogactwach i wspaniałości.

Należał on do tych bogaczów. Wiedzą oni, w jaki sposób jak najlepiej się zabawić, jak użyć swych pieniędzy, ale zapracować nie potrafią ani grosza.

Nasz hrabia coraz bardziej i bardziej na majątku upadał, a miał ten dziwny, niezrozumiały i głupi wstyd, że nie chciał nic o tem słyszeć i życia skromniej wcale nie urządzał. Owszem, jakby chciał zadać kłam prawdzie, występował jeszcze huczniej i okazalej, dopóki tylko się dało. Szły na to miasta za miastami, zamki za zamkami, łany za łanami, jakby majątek ludzki nigdy się nie wyczerpywał. Tymczasem dobra prędko topniały, aż stopniały do tego stopnia, że pozostał mu tylko lichy zamek myśliwski wśród lasu. Musiano oddalić wszystką służbę, sprzedać klejnoty i konie, powybijać psy, słowem z wszystkiego się wyzuć i wraz z żoną i trzema pięknemi córkami ukryć się w zaciszu przed oczami szydzącego z nich teraz świata. Tam przypadło hrabiemu prowadzić życie surowe i biedne; pokarmem jego były teraz korzenie roślin, jagody leśne a od czasu do czasu dziczyzna. Taki byt nie mógł się podobać panu licznych niedawno włości i olbrzymich dostatków. Gdyby był zawsze tak biednym, znosiłby los spokojnie i bez szemrania; ale on zubożał — więcej jeszcze, z własnej zubożał winy, co daleko jest gorsze. Ztąd humor mu się popsuł, krzyczał na wszystkich, zżymał się o najmniejszą drobnostkę, hałasował i dowodził nad każdym, najwięcej nad swą rodziną, która była całkiem niewinną. Obcowanie z nim stało się bardzo przykrem, a prawie nieznośnem.

Las, w którym hrabia mieszkał, znanym był w całej okolicy, jako miejsce zaczarowane, w którem tajemnicze działy się rzeczy, a kto ośmielił się wejść w jego głębię, już z niej nie wychodził. Nazywano go lasem czarodziejskim.

Raz zapędził się hrabia z myśliwską swą włócznią nieco dalej jak zwykle. Polował długo, ale nie upolował nic; znużony usiadł pod starym dębem i zaczął posilać się chlebem ze solą, który wyjął z torby myśliwskiej.

Wtem z krzaków wytoczył się olbrzymi niedźwiedź i szedł prosto na niego. Hrabia przestraszył się niewymownie, tem bardziej, że na polowanie na niedźwiedzia nie był wcale uzbrojony. Lancę, którą chciał go przebić, połamał niedźwiedź w kawałki jak słomkę i zamruczał do niego:

— A ty tu jakiem prawem polujesz i uganiasz. Las to mój, a kto z niego czerpie korzyści, ten mnie okrada. Wiedz, że życie twoje zależy odemnie i życiem tem właśnie opłacisz swą śmiałość.

— O! nie pożeraj mię, miłościwy panie nieźwiedziu! błagał przelękniony hrabia, "nie myślę wcale obierać was z miodu. Jeżeli macie apetyt, dam wam, co mogę, ale jest to pokarm zwykły i nader skromny."

Mówiąc to podał niedźwiedziowi cały swój zapas. Niedźwiedź otrząsł się i zamruczał gniewnie:

— Cóż za nędznym częstujesz mnie pokarmem? Nie żądam go. Życie twoje jednak zaszanuję, jeżeli mi dasz za żonę córkę twą najstarszą, Wulfildę.

"Najchętniej, najchętniej, szlachetny niedźwiedziu!" odrzekł hrabia w śmiertelnej trwodze. Ale równocześnie użył podstępu i dodał:

— Ma się rozumieć, że podług krajowego zwyczaju, sami musicie przyjść po nią i odemnie ją wykupić!

— Dobrze! odparł niedźwiedź i podał hrabiemu kosmatą łapę do uścisku. Za ośm dni wykupię ją centnarem złota i uprowadzę do siebie!

To mówiąc skierował się do swej jamy.

Hrabia spiesznie powrócił na zamek, drżący z doznanego przestrachu, wycieńczony i osłabły.

Nazajutrz rano opowiedział rodzinie, co mu się przydarzyło i co musiał przyrzec pod wpływem bojaźni. Odpowiedzią na to był rzewny płacz żony i córek, które nie mogły się pocieszyć.

Hrabia nie zadawał sobie nawet trudu w łagodzeniu ich boleści, ale milcząc obchodził chmurny dokoła swój zamek, obejrzał mury i wały, próbował żelaznej bramy, czy jeszcze zdoła silniejszy nacisk wytrzymać i ku uciesze swojej znalazł wszystko w dosyć dobrym stanie.

— Przecież przez dziurkę od klucza mówił do siebie — niedźwiedź nie dostanie się do zamku. — Ściągnął most zwodzony, zabezpieczył wszystkie możliwe miejsca, a córkę Wulfildę zamknął w ukrytej komnatce na warownej wieży. Tak się upewniwszy przed najściem niedźwiedzia, czuł w duchu już zupełny spokój.

Szybko ubiegło sześć dni i siódmy zawitał. Wtedy podniósł się w lesie ogłuszający hałas i wiwaty. Słychać było trzaskanie biczów, trąbienie rogów, nareszcie ukazali się na koniach liczni jeźdźce, a w otoczeniu ich przepyszny wóz z samego złota i srebra. Rycerstwo ubrane było również nader bogato.

Wóz stanął przed bramą zamku a z niego wysiadł piękny młody mężczyzna, ubrany w aksamity i ozdoby srebrne. Sznury pereł i dyamenty świeciły mu się do koła szyi i na kapeluszu, a złoty łańcuch okrywał mu piersi. Rygle i zamki bramy i wszystkie drzwi zamku otworzyły się same z siebie, most ściągnięty napowrót nakrył rów zamkowy i po nim jak wicher szybko wpadł młody przybysz, pobiegł wprost po schodach na wieżę i zanim upłynęły dwie minuty, już uwoził z sobą płaczącą Wulfildę.

Hałasem zbudzony hrabia porwał się z łóżka i ledwie jeszcze dostrzegł swą córkę w objęciach młodzieńca. Pełen rozpaczy i żalu zawołał za nią:

— Bądź zdrowa, moja córeczko, bądź zdrowa, bądź zdrowa, ty oblubienico niedźwiedzia!

Matka, która również się zbudziła, szukała córki po całym zamku. Na stole w pokoiku Wulfildy leżał tylko klucz srebrny, który wzięła do siebie.

Trzy dni przeżyli wszyscy w najgłębszym smutku i rzewnym płaczu, poczem wyszedł hrabia z domu żałoby zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. Wtedy znalazł na dziedzińcu zamkowym wielką polerowaną, błyszczącą hebanową skrzynię, która ciężką była do podniesienia. Domyślił się zaraz, co w niej jest zawarte, otworzył ją srebrnym kluczem i znalazł w samej rzeczy centnar złota w pięknych, nowiutkich monetach.

I zbudziła się w hrabim stara próżność — wykradziona córka i wszelka litość serca, poszły w zapomnienie. Na nowo poczęły się bankiety i uczty, zabawy i igrzyska, na nowo cichy zameczek zaludnił tłum sług, myśliwych, koni i psów, gdyż tyle pieniędzy nie mogło zapleśnieć w skrzyni i trudno wydać je wszystkie. Ale w krótkim czasie wyczerpały się one, wbrew twierdzeniu hrabiego i przyszli dłużnicy i zabrali mu stary myśliwski zamek, nie zostawiając mu nic więcej nad łowczego sokoła. I przeszło wspaniałe życie, a na nowo rozpoczęły się troski i nędza.

Znudzony i zdeterminowany wyszedł z swym sokołem na łowy, ale już nie do lasu, przed którym miał strach niewypowiedziany, tylko na puste pole, które tuż obok lasu leżało.

Sokół spuszczony z pierścisnia, uniósł się w górę, coraz wyżej szybując, a gdy hrabia przywoływał go napowrót, nie usłuchał wabienia i począł kierować się w stronę lasu, gdzie przestraszony myśliwiec bał się nogę postawić.

Nagle wyleciał z lasu potężny orzeł, ścigający sokoła, który szybko i trwożliwie przypadł do ramion pana w celu ratunku. Ale orzeł nie wstrzymał pościgu i wbił się w plecy hrabiego szponami jednej nogi, podczas gdy drugą rozmiażdżył sokoła.

Hrabia próbował wprawdzie odpędzić go myśliwską lancą, ale orzeł połamał ją w drobne cząsteczki, podobnie jak przedtem niedźwiedź!

— Przeklęty — zahrapał orzeł — jak śmiesz polować w powietrzu, które do mnie

należy? To kosztuje życie!

Hrabia nauczony już doświadczeniem, odparł:

— Nie bądźże niełaskawym, miłościwy Panie! To wszystko stało się wbrew mojej woli. Biednego sokoła, ukaraliście już za okazane mi nieposłuszeństwo. Jeśli chcecie, zjedzcie go sobie.

— Dziś pachnie mi szczególniej mięso ludzkie— odrzekł, bijąc w skrzydła orzeł — a ty wydajesz mi się bardzo smacznym kąskiem.

— Ach Boże — jęczał hrabia — czyż nie ma dla mnie już wyjścia? Żądajcie wszystkiego, co mam tylko, a szanujcie moje życie.

— Dobrze — rzekł orzeł — daj mi drugą twą córkę Adelajdę, a zaszanuję twe życie. Wykupię ją dwoma centnarowemi złotemi jajami i za siedm tygodni ją odbiorę.

Hrabia czuł się zupełnie zadowolonym i lekko mu było w duszy, bo oto przyszedł znów do pieniędzy, do złota, a z nim do życia nowych szałów i zabaw. Zamilczał jednak tym razem o wypadku, aby nie sprawiać boleści żonie i córce; udawał tylko żal za sokołem, który mu odleciał.

Sześć tygodni minęło. Adelajda wiedziała dobrze, co do dobrej przyszłej kobiety należy, że chcąc być dobrą żoną i gospodynią, trzeba znać się na gospodarstwie i przemyśle domowym. Umiała też prząść najdelikatniejsze płótna i bielić je o wczesnym poranku, na świeżej zroszonej trawie.

Właśnie zatrudniona była o świcie bieleniem płótna, gdy nadjechał poczet rycerzy. Adelajda skryła się za kwitnący krzak róży, gdyż była w rannej tylko spódniczce. Najpiękniejszy rycerz z orszaku zeskoczył z konia i rzekł:

— Widzę cię, piękna Adelajdo; kocham cię już od dawna; o, chodź ze mną i bądź moją małżonką!

Niespodziane to oświadczenie się przyprowadziło dziewicę do omdlenia; upadła bezwładna na trawę, a gdy przyszła do siebie, trzymał ją już w swych ramionach piękny rycerz — oddaloną była o jakie tysiąc kroków od domu.

Matka przelękła się bardzo, gdy córka nie przyszła na przygotowane dla niej śniadanie. Szukała i nawoływała ją wszędzie, w czem dla pozoru pomagał jej hrabia. Kiedy przyszedł wreszcie do krzaku róży, znalazł tam już porzucone dwa złote jaja, każde wagi jednego centnara. Aż serce się zaśmiało hrabiemu na widok takiego bogactwa. Strapiona jednak matka omdlała na widok okupu. Gdy przyszła do przytomności, hrabia zmuszony był jej wszystko mimowoli odkryć.

Nie pomogło nic, że biedna kobieta płacząc łajała męża; ten milczał spokojny i czekaj cierpliwie, kiedy rozżalona matka się uspokoi. Poczem zabrał ze sobą złote jaja i udając żal i smutek, trzy dni nie pokazywał się w zamku. Po trzech dniach wszakże, hulatyka rozpoczęła się, jak dawniej.

Pozostała teraz hrabiemu jedna jedyna córka, urocza Berta, która przy każdej zabawie rycerskiej tańczyła z tym, który był nagrodzony.

Najszlachetniejsi rycerze przybywali z daleka i z blizka, starając się o jej rękę, ale Berta nie mogła się zdecydować na wybór.

Tymczasem złote jaja stopniały w ogniu hulaszczego życia i zamek znowu stanął pustką i ruiną. Cisza klasztorna zapanowała w rozbrzmiewających niedawno od uciechy salach. Rozpoczęło się znowu życie trudów, trosk, opuszczenia i twardej doli. Hrabia zniechęcony chodził sam po polach i błoniach, nie pokazując się w zamku często dni kilka. Raz wykupiony z rąk dłużników, mógł stary zamek napowrót wpaść w ich ręce.

Pewnego dnia napotkał hrabia stado kuropatw, które zerwało się z krzykiem ulatując do lasu. Obawiając się wejść do środka, przystanął tylko na brzegu. Wtedy zobaczył stawek, jakiego dotąd nie widział. W przezroczystej jak szkło wodzie pływały, bawiąc się z sobą i wesoło pluskając, ryby najrozmaitszego gatunku — staw wcale nie wydawał się niebezpiecznym. — Ej, — pomyślał sobie hrabia, — gdyby tak mieć sieć połów byłby znakomity. Powrócił więc na zamek, całą noc przesiedział plotąc sieć wielkich rozmiarów i o świcie już wyszedł na łów. Na stawku znalazł ukryte w przybrzeżnych sitowiach czółenko, wsiadł doń

wesoło powiosłował na środek wody; tutaj zarzucił sieć z piosenką na ustach i po chwili wyciągnął sieć pełną ryb przeróżnych. Aż ślina mu przyszła na język, na wspomnienie, jak smaczną będzie miał z nich wieczerzą.

Gdy jednak chciał wracać, czołno zatrzymało się kilka set kroków od brzegu tak jakby w wodę wzrosłe tak, że wszelkie usiłowania hrabiego, aby ruszyć z miejsca, pozostały bezskuteczne. Do koła czołna woda zupełnie spłynęła, jakby wyschła; nagle wezbrała z taką siłą, że czołno coraz dalej porywało od brzegu, stawek zamienił się w burzliwe jezioro, fale rosły i rosły, zamieniały się w sine bałwany, które uderzając o siebie i o łódź z łoskotem, wrzały jak woda gorąca w olbrzymim kotle. Teraz dopiero spostrzegł hrabia z okropnem przerażeniem, że jakiś szkaradny wodny potwór zbliża się do niego. — Drżał.

Potwór zanurkował się w wodzie i znowu podniósł z pod fali ogromną i straszną swą głowę, a uderzywszy ogonem we wodę, jednym susem był już u czołna.

— Przeklęty śmiałku! — zawołał, — jak odważasz się naruszać i niepokoić moje wody; jak śmiesz chwytać moich poddanych? Wiedz, że przepłaciłeś to życiem.

Hrabia już dobrze obznajmiony był z podobnymi wypadkami, dla tego nie brał sobie pogróżki do serca. Z najzupełniejszym spokojem odezwał się do ryby:

— Wielki i potężny Lewiatanie, nie naruszaj prawa gościnności i nie gniewaj się o ten sak ryb. Gdybyście chcieli przyjść kiedy do mnie, kuchnia i piwnica stoją na wasze usługi.

— Oho! — zawołał potwór, — nic z tego; silniejszy pożerza słabszego. Ty chcesz zjeść moich poddanych, ja nawzajem zjem ciebie!

I otworzył swą potworną paszczę tak szeroko, że nietylko on, ale i łódź mogła się w nim wygodnie pomieścić. Tedy upadł hrabia na kolana i błagał o życie Potwór zdawał się namyślać, wreszcie rzekł:

— Oddaj mi twą ostatnią córkę za żonę, a daruję ci życie!

— Chętnie, — odparł hrabia, — jesteście prawdziwym szlachcicem; ale czemże chcecie ją odemnie wykupić?

Potwór przyrzekł dać mu trzy korce najkosztowniejszach pereł, jakie ma na dnie swego jeziora i zapowiedział przybycie swoje za siedm miesięcy.

Ryby, które hrabia przyniósł, smakowały wszystkim wyśmienicie. Coś tak dobrego dawno już nie jedli. Biedna Berta nie wiedziała wszakże, za jak wysoką otrzymano je cenę.

Ojciec milczał.

Miesiąc sześć razy już się obrócił; z nadejściem siódmego, hrabia wybrał się w podróż, by nie być obecnym przy porwaniu Berty i przy jękach żony.

W południe, gdy księżyc właśnie doszedł do pełni, zajechał do zamku z pocztem licznych rycerzy jakiś piękny mężczyzna. Berta poznała w nim jednego z tych licznych gości, którzy u nich na zabawach bywali i z nią tańczyli. Zwano go żartobliwie wodnym rycerzem, gdyż nigdy nie pijał wina.

Hrabianka zawstydziła się swego ubóztwa, bo była niedawno bogatą, i nie chcąc widzieć się z pięknym rycerzem, skryła się za studnią.

Ale rycerz widział ją dobrze i prosił o kubek wody. Berta napój podała. Matce jednak przypomniały się wodne melony w ogrodzie; pobiegła więc, by je podać gościowi, ale zanim wróciła, Berty już więcej nie było, nie było rycerza, nie było jego orszaku; wszystek płacz, narzekanie i nawoływanie nie przydały się na nic. W przedsionku natomiast znalazła trzy wory pełne jakichś kosztowności; nie oglądała ich wszakże, bo czuła się bardzo zmartwioną i opuszczoną. Hrabia jednak, który powrócił we właściwym czasie, zdołał małżonkę uspokoić. Otworzywszy wory, znaleziono w nich prześliczne perły.

Hrabina pocieszyła się myślą, że młodzieniec ów, który tak kosztowne mógł złożyć dary, nie jest żadnym złoczyńcą i dobrze z nim powodzić się będzie kochanej jej Bercie. Małżonek nie bardzo był tego pewnym, znając całą historyą.

Skarb w perłach był nieoceniony. Podczas zamiany ich na monetę krajową, zamek roił się cały od kupców i żydów, którzy prze-

ścigywali się w cenie, aby tylko choć parę tych pereł zakupić. Hrabia pospłacał teraz wszystkie swoje długi i odebrał napowrót swoje miasta i zamki, swoje łany, łąki i lasy, a nawet drugie tyle jeszcze dokupił. Wyprowadził się również z myśliwskiego zameczku, na najwspanialszy z swych licznych grodów. Nikt nie wiedział, zkąd hrabia przyszedł znowu do takiego majątku Podziwienie było ogromne. Dwór urządzono wprawdzie bogato, ale rozumniej i oszczędniej, niż przedtem. O dawnych bankietach, pijatykach, igrzyskach i turniejach nie myślano nawet, bo nie było już córek, dla których tak butno pokazywał się przedtem nasz hrabia. Żył on teraz wstrzemięźliwie i skromnie, ale dobrej myśli, podczas gdy hrabina martwiła się skrycie i narzekała na swą samotność.

Bóg także ją pocieszył. Porodziła ona hrabiemu syna, a ponieważ uszczęśliwiona matka dla lat swych późnych nigdy już nie spodziewała się dziecięcia, nazwano nowonarodzonego Reinholdem, cudownem dzieckiem. Reinhold był teraz jedyną pociechą rodziców.

* * *

Gdy chłopak podrósł, dowiedział się o całej tajemnicy swych porwanych sióstr. Matka pieszcząc go, przypominała sobie zawsze swe drogie córki, a na wspomnienie to, łzy jej płynęły obficie. Wtenczas chłopak, tuląc się do matki, pytał:

— Ach, kochana matko, dla czego ty płaczesz?

Z początku matka zbywała go ni tem, ni owem; ale gdy podobne wyjaśnienia nie wystarczały bystremu Reinholdowi, musiała mu wreszcie matka opowiedzieć prawdziwą historyą. Chłopak zapamiętał sobie dobrze, co mu matka opowiadała i ubolewał bardzo nad losem siostrzyczek. Jedynem teraz jego życzeniem było, jak najprędzej przyjść do lat dojrzałych, a wtedy jako rycerz, przedsięwziąć awanturniczą wyprawę przeciw trzem wrogom i siostry z niewoli ich oswobodzić.

Wreszcie spełniło się jego życzenie. Lata chłopięce przeminęły szybko, nadszedł wiek dojrzałości, a z nim i owa utęskniona i upragniona chwila wyprawy. Pasowano go na rycerza, przyczem Reinhold miał sposobność okazać się przed wszystkimi swem męztwem i nieustraszoną odwagą. Zaraz po skończonych zabawach, nowozaciężny rycerz postanowił wyruszyć na wyprawę. Przed ojcem powiedział, że chce wyjechać do Flandryi, aby na dworach tamtejszych znakomitych rycerzy, wyćwiczyć się zupełnie w swem szlachetnem rzemiośle. Hrabia ucieszył się bardzo, że syn wchodzi w ślady ojca i jego sławnych przodków, uściskał i ucałował go serdecznie, dał mu piękne konie i kosztowne zbroje i wiele żołnierzy i służby.

Reinhold odjechał; ale wnet zawrócił z państwowego gościńca i skierował się do znanego nam z tylu przygód, leśnego zamczyska. O świcie dnia następnego, nie zawiadomiwszy o niczem swych towarzyszów, oddalił się sam ze zamku i na dzielnym swym rumaku popędził wprost do zaczarowanego lasu. Nikt nie wiedział, dokąd się udał.

Reinhold tymczasem coraz więcej w las się zagłębiał; krzewy i drzewa z każdym krokiem stawały się gęściejsze; do koła cicho było i pusto. Dalej niepodobna było już jechać; zsiadł więc z konia i mieczem torując sobie drogę, z trudnością przedzierał się przez gęstwiny. Potem las zrzedniał, a na miejsce jego wystąpiły strome skały i przepaściste parowy. Ale i te przebył szczęśliwie. Za skałami rozkładała się wdzięczna, bujną i barwną roślinnością umajona dolinka, z środka której wystrzelała w niebo jedna samotna skała z ciemną wewnątrz pieczarą. Przed otworem jej zauważył Reinhold jakąś postać ludzką. Odważny młodzieniec po cichu zbliżył się aż do samej skały, a ukrywszy się za jej ścianą tak, że chociaż niewidziany, sam obserwować mógł dobrze — z ciekawością począł przyglądać się tej postaci.

I oto zobaczył przed sobą piękną młodą kobietę, która siedziała na trawie i na łonie trzymała młodego niedźwiedzia.

(Ciąg dalszy nastąpi).

W. BOGUSŁAWSKI.

CUD

CZYLI

KRAKOWIACY I GÓRALE

W TRZECH ODSŁONACH.

(Ciąg dalszy).

Stach.

Ej! cós ty myślis Basiu, cós to znowu tobie,
Ot, zwycajnie kobieta jak kobyła w błocie,
Jak się upse, ani by.

Basia.

I cós w tym kłopocie
Pocniewa?

Stach.

Ja dalibóg nie wiem co tu pocąć.

(Spostrzega Bardosa).

Ale ktoś to tam idzie, chce snać widzę spocąć.
I siadł se.

(Przypatrując się).

Och! coś mi się ochapia pseklęcie.
On, nie on? Jakze się mas mój Panie skubencie?
Cós ty tu robis?

Bardos.

A kłaniam Panie Stanisławie.
Skądżeś się tu wziął?

Stach.

Tuć ja mięskam; z nieba prawie
Zjawiłeś nam się WPan.

Bardos.

W czemże pomódz mogę?

Stach.

Ja Basiu z Jegomością jeździłem ras w drogę.
Wziąłem go w Małogoscu z prosetorem jego,
Sam Pan mu służył, lec on słyse nie wart tego,
Bo go sam Pan w naukach duzo psewyzsali,
Jak mówili ludzie, co wej Pana znali.
Ej! rozum tes to rozum.

Bardos.

Bodaj go nie miałem!
Za to też chleba i szkół postradałem.

Stach.

Wejcie.

Bardos.

Powiedz mi proszę, czy to ty się żenisz?
Bo tu widzę wesele.

Stach.

To wej mój bratanek
Bieze zonkę.

(Skrobie się po głowie).

Bardos.

Oboje was jakiś frasunek
Dręczy, ty się po głowie skrobiesz, a ty się czerwienisz.

Stach.

Bo to wej moja luba.

Basia *(rumieni się).*

A ty mój kochanek.

Bardos.

Czemuż się nie żenicie?

Stach.

Matka nie pozwala.

Bardos.

A to czemu?

Basia.

Bo mnie chce wydać za górala.

Bardos.

Za górala?

Basia.

A juści.

Stach.

Jus z nią drugi dzbanek
Miodu mój ojciec pije, ale nie wzrusona,
Jak wejcie góra w Tatrach skalistych.

Bardos *(wskazując na Basię).*

A ona
Mas ojca?

Stach.

Ma mój Panie, ale juz jest stary,
Młoda zonecka nad nim psewodzi bez miary.

Bardos.

A on przecie przystajeż?

Basia.

On ci by i psystał,
Aleby w domu jednej godziny nie wystał,
Wygnałaby go zona.

Stach.

Ratuj nas mój Panie.

Bardos.

Będzie to, ale wprzódy muszę zjeść śniadanie.
Wy czyście już śniadali?

Basia.

Dopiero do stołu
Zastawiają.

Bardos.

Tem lepiej.

Stach.

Będziem jeść pospołu.

Bardos.

Mniejsza o to, służę wam.

Stach.

Co chces, to ci damy.

Bardos.

Nie gardzę niczem.

Stach.

Tylko wpsód do Basi Mamy,
Młynarki, obróć Waspan swoje perswazyje,
Mas wielki rozum, to ją psekonas.

Bardos.

Użyję
Całej mojej wymowy, tylko podjem wprzódy:
Ale słuchajże, aby rzecz mi się udała,
Porzuciwszy niewczesne ze mną korowody,
Powiedźcie mi, jak się ta miłość zawiązała
I jak daleko zaszła, trzeba mi to bowiem
Wiedzieć.

Stach.

Oto tak.

Basia *(przerywając mu).*

Cyt no, ja to lepiej powiem.

ŚPIEWKA.

Basia. Ras na pniu między dębami
Siedziały w pazie turkawki.
Nie wiem, dla jakiej zabawki,
Tsepiotały się sksydłami.

Patsąc na to ich rusanie,
Taka mnie lubość psejęna,
Zem słodko Stasia ścisnęła,
I stąd wsccęno się kochanie.

Stach. Ras nam się krówka ganiała,
A Basia psy mnie siedziała,
Nie wiem, co się to zrobiło,
Ze mi się w ocach zaćmiło.

Bardos.

Wybornie! a potem?

Stach. Bojąc się jakiej zarazy,
Ścisnąnem Basię dwa razy,
Ona mię takze ścisnęna,
I stąd się miłość pocęna.

(Ciąg dalszy nastąpi.)